

Eugeniusz Kurzawa

Spis treści (31)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobocki

Z czego wynikały takie sympatyczne otwarcie Yvonne wobec mnie? Być może z moich zdecydowanych poglądów „na temat Różewicza”. Oddaje to, jak sądzę, inna z jej notek: „Najważniejszą w całym numerze »Komunikatów« przeczytałam tekst na ostatniej stronie. Zaintrygował mnie tytuł. A potem – zaimponował mi Pan swoim spojrzeniem na omawiane tam sprawy – i chciałabym oburzyć się pod Pana tekstem podpisać, ale uznano by to za nienormalne. Dziękuję Panu, że wspominał pan T. Różewicza (Numer jeden poezji polskiej) oraz o tym kneblowaniu ust każdemu, kto ma odrębne zdanie niż niedawna opozycja walcząca o wolność słowa. To jest dobrze i zdecydowanie napisane” (29 października, rok nieznany). Z innego przesłania (22 sierpnia 1998) wynikają zamiary pani Yvonne, żeby jednak zorganizować wieczór autorski Różewicza w Zielonej Górze; informuje, że rozmawiała o tym z poetą, ale „znalazła go w złej formie i kondycji”. Dodaje, iż „Dokładnie musimy obmyślić program pobytu pp. Różewiczów, by jednak zachęcić ich do przyjazdu do Z.G.”. Czy wspólnie planowaliśmy umieścić poetę i ściągnąć do Winnego Grodu? Ciekawe... Współpraca z Yvonne urywa się w 1999 roku. Dlaczego? Powodem zerwania znajomości prawdopodobnie też był – bo tego dokładnie nie wiem – Różewicz. Oczywiście nie jako poeta czy osoba, lecz jako pretekst. Odtąd już nigdy pani Y. nie wiedziałam, nie mogłem więc niczego wyjaśnić lub dowiedzieć się. Szkoda, bo w ten sposób Różewicz prywatny zdecydowanie mi „odjechał”. I ostatecznie nie wiem również, czy późniejszy pobyt pisarza w Zielonej Górze, w bibliotece „Norwida”, był zasługą Yvonne, czy raczej pani dyrektor Marii Wasik.

W każdym razie uczestniczyłem w tym spotkaniu z Różewiczem, które prowadził wówczas Jan Kurowicki. I choć Janek należał do erudytych pierwszego sortu, widać było,

jak trudno mu przychodziło „zahaczyć” poetę, skłonić do wypowiedzi, komentarza, „wyciągnąć” coś, co jest poza zapisem książkowym. Pisarz, moim zdaniem, wewnątrz schował się przed publicznością, jakby zabarykadował. W pewnym momencie od tego stopnia się zdystansował wobec uczestników spotkania, że zaproponował włączenie kasyety z nagraniem swoich wierszy. Nie chciał sam mówić? Nie poszedłem po spotkaniu po dedykację w książce, to było dla mnie za mało. Pogadałem tylko w holu biblioteki z Janem Stolarczykiem, wrocławskim kolegą, który pełnił rolę sekretarza Różewicza, ale był również wydawcą poety i długoletnim redaktorem naczelnym Wydawnictwa Dolnośląskiego. Wiem, że to „dzięki” Jankowi Stolarczykowi nie udało mi się nigdy dotrzeć listownie do Tadeusza Różewicza. Sam to przyznał. Listy wysłane do poety Janek kwitował kartką do mnie z adnotacją, że ów jest zmęczony, chory, niedysponowany. No cóż, brak kontaktu też może być inspirowany...

Umarł Tadeusz Różewicz

internet w tym dniu nawet się nie zająknął o tej śmierci choć na temat śmierci akurat było tyle ciekawych informacji choćby program o śmierci na tysiąc sposobów wyprodukowany przez amerykańców sprzedano poza tym z ekranu wiadomość o zgwałconej 21-latkce i skazaniu znanego detektywa na więzienie oprócz tego wybrano najpiękniejszą a rodzice pytali w co ubrać dzieci na spacer między banderowcami a wybuchem papieskiego śmigłowca nie zmieścił się pan tadeusz miejsce poety wypadło ze śmietnika w którym ludzkość grzebie się od zawsze choć on przecież zawsze był bliski prozaicznych zapisków lecz stał jak słup milowy przy trakcie i dopóki stał – a liczyłem go zawsze oraz o rok ojca jako wyznacznik – byłem starszego bezpieczny a świat istniał jeszcze to był mój patent na przetrwanie cóż teraz wszechświat zaskakująco opustoszał

Tadeusz Różewicz, ur. 9 października 1921 w Radomsku - zm. 24 kwietnia 2014 we Wrocławiu; pochowany w Karpaczu obok świątyni Wang. Poeta, dramaturg, prozaik. Podjął studia na UJ, ale ich nie ukończył; za to później otrzymał kilka doktoratów honoris causa. Po II wojnie, po epizodach w Częstochowie, Krakowie i Gliwicach, na stałe osiadł we Wrocławiu. W 2008 r. otrzymał w Strasbourgu Europejską Nagrodę Literacką. Kilkakrotnie nominowany do Nagrody Nobla.

Ryszard Kapuściński

Wybitnego reportera poznałem latem 1976 roku w wypoczynkowej miejscowości Soczewka pod Plockiem. Nad jeziorem o tej samej nazwie istniał ośrodek „Almaturu”, gdzie od lat 60. tygodnik „ITD” oraz SZSP (Socjalistyczny Związek Studentów Polskich) organizowały obozy warsztatowe dla dziennikarzy studenckich. Nie miałem wówczas (niestety!) pojęcia, kim jest facet, który wszedł do naszej wielkiej stołówki na kolację i nagle spotkał się ze spontanicznymi oklaskami moich (bardziej obytych i uświadomionych) kolegów po piórze. Kto to? – pytałem.

Po kolacji, na plaży nad jeziorem, zaplanowano ognisko z Kapuścińskim. Wszyscy siedzieli wokół ognia, a on opowiadał. Długo i dużo. Raczej go słuchaliśmy, a przy ognisku siedziało około stu osób, ale musiały też paść pytania. Stąd pamiętam, że odpowiadając na pytanie o wydarzenia w Angoli, przeniósł się na wątki afrykańskie. – Kubańczycy to dobre wojsko – utrwaliło mi się zdanie właśnie w kontekście wojny w Angoli. Barbara Sułek napisała w „ITD” relację: „Ryszard Kapuściński mówił o wszystkim i o wszystkim był pytany: zaczynając od spraw codziennych w życiu korespondenta zagranicznego, poprzez problemy dziennikarskiego warsztatu, aż do spraw wielkiej polityki. Był na tym spotkaniu śmiech, była też refleksja i powaga, właściwa omawianiu rzeczy wielkich”.

Gawęda przy ognisku (wciąż jestem roku 1976) trwała długo w noc i było widać, że początkujący dziennikarze ogromnie są ciekawi kolejnych opowieści gościa. W końcu jednak wstał, przeprosił, że rano musi do Warszawy, i ruszył w stronę domku campingowego, który został mu przydzielony. Wraz z nim ruszyła grupka kolegów, żeby reportera odprowadzić. Żałuję że nie poszedłem, ale mowa była o śnie... Tymczasem okazało się, że Kapuściński wraz z odprowadzającymi – którzy najpierw stali przed campingiem i wciąż go słuchali – usiadł w końcu z nimi w swoim pokoju, ktoś otworzył butelkę wódki i rozmawiano dalej. Młodzi gadali z mistrzem do wczesnego ranka, być może nawet do pory śniadania. Lecz gdy rano Kapuściński przyszedł na śniadanie, „dorwali” go ci, którzy obudzili się i przyszli się posilić, i wciąż jeszcze chcieli rozmawiać. Niestety, spałem, bo nie lubię wcześniej wstawać...

Podczas wizyty w Soczewce w 1978 lub 1979 roku pan Ryszard mówił o świeżej rewolucji w Iranie. Opowiadał tak, jak później przeczytałem to w książce „Szachinszach” (1982). Spokojną, szczegółową, rzec można, dobrze udokumentowaną narracją. Utkwiły mi w głowie kartki maczane w krwi płynącej rynsztokami Teheranu, przyklejane przez dzieci do ścian domów, wyznaczające szlak marszów tłumów, szlak rewolucji.

Wart odnotowania jest jeszcze coroczny wieczorno-noctny obrządek z udziałem znakomitego reportera, czyli tzw. pasowanie kilkorga z uczestników obozu na dziennikarza.

cdn.